

Jacek Chrobaczyński
Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie

Refleksje na temat monografii Marka Łuszczyny, *Mała zbrodnia. Polskie obozy koncentracyjne*, Kraków 2017, Znak Horyzont, ss. 297

Na pierwszy rzut oka nie sposób uwierzyć, że książka o tak prowokującym tytule ukazuje się w samym środku skandalu, o zasięgu światowym, o „polskie obozy koncentracyjne”¹. A jednak, właśnie w tak dusznej atmosferze na rynku pojawia się praca o „małej zbrodni”, ale z wyraźnym adresem jej miejsca – „polskimi obozami koncentracyjnymi”. Na okładce, interesująco zredagowanej, znajdują się też, zakreślone (skreślone) wprawdzie, ale jednak dostrzegalne, dylematy problemu: „powojenne”, „komunistyczne”, „pracy”, „karne”. Można by pomyśleć – wszystkie te pojęcia w dyskursie, raczej politycznym, czy ideologicznym, a w mniejszym stopniu historycznym, bywają odmieniane. Ale

¹ To, bez wątplenia, dla tak zdefiniowanego problemu badawczego również i kontekst, „ekran” polityczny. Jesteśmy aktualnie obserwatorami, nie tylko my historycy czy prawnicy, ale i powszechne gremium społeczne, dość wyrazistej i kłopotliwej zarazem awantury prawnej, polityczno-ideologicznej, historycznej i historycznej, także dyplomatycznej, niestety z udziałem „historycznym” premiera, prezydenta, innych prominentnych „historyków” z obozu „dobrej zmiany”. W jakimś też stopniu dyskursu o charakterze metodologicznym – dotyczy to przecież zjania/ pojęć, którymi dość łatwo interlokutorzy operują. Dyskutuje dyplomacja amerykańska i izraelska. Świat nie ma ważniejszych problemów? A wszystko przez nieodpowiedzialność, a przede wszystkim brak rzetelnej historycznej wiedzy, także wiedzy o dyscyplinie naukowej historia, rządzących z obozu tzw. dobrej zmiany. Wynikiem finalnym tej postawy jest nowelizacja ustawy o IPN. By jednak narracja naukowa, a taką chciałbym zachować, nie „zderzała” się z polityką czy ideologią, propagandą, konteksty te, tam, gdzie to niezbędne, przenoszę do przypisów. Bowiem, trudno sobie wyobrazić, mimo wszystko, dyskurs naukowy („polskie obozy koncentracyjne”) bez tej otoczki, języka, bohaterów i samych wypowiedzi.

dlaczego skreślenia? I na dodatek bez podania dat precyzujących problem – wyjątek stanowi tu jedynie czas historyczny: „powojenne”.

Odnoszę wrażenie, że zarówno autor, jak i wydawca wiedzieli, co robią. I uczynili to świadomie. Moim zdaniem zasadnie. Ta praca, a w istocie reportaż, nie jest żadną prowokacją, jest solidnie przebadaną źródłowo, także w kontekście literatury przedmiotu i z wykorzystaniem *oral history*, na poły rozprawą ocierającą się o monograficzność ujęcia, ale i na poły (szczególnie język narracji) reportażem. Trzeba przyznać, bardzo dobrym historycznym reportażem. Akcentującym ważne zagadnienie, niemal z pola walki o historyczny kontekst, zrozumienie i wiedzę. To istotny, polsko-polski przede wszystkim problem, który trudno inaczej nazwać, jak właśnie „polskie obozy koncentracyjne” lub „powojenne obozy koncentracyjne w Polsce (1945–1950)”. Całość autorskiej analizy została dobrze umocowana w podstawie źródłowej i literaturze przedmiotu.

Moja propozycja tytułu jest inna. Brzmi precyzyjniej, tak merytorycznie, jak i w perspektywie czasu historycznego: „Powojenne obozy koncentracyjne w Polsce (1945–1950)”, ewentualnie „Obozy koncentracyjne w Polsce w latach 1945–1950”. Myślę, że jest bardziej dopracowana, choć nie zmienia zasadniczego faktu – w Polsce powojennej, powtórzę: w Polsce, a nie jakiejś kolonii komunistycznej czy sowieckiej republice, przez niemal pięćdziesiąt lat istniały obozy koncentracyjne. To były polskie obozy koncentracyjne – własność i odpowiedzialność, także z funkcjonariuszami ówczesnego państwa polskiego. Z polską komendanturą, infrastrukturą, strażnikami i językiem rozkazodawstwa, raportów, dokumentacji. To, jak sądzę, niezwykle ważna konstatacja, by tak rzec – kierunkująca dalszą analizę w tym artykule.

Nie da się, jak sądzę, zaprzeczyć jednoznacznie tezie, iż znacząca część społeczeństwa polskiego, „wychodzącego” z wojny i okupacji, pomimo rozlicznych wątpliwości, często też postawy wrogości, z różnych powodów i przesłanek, tamto państwo, mimo wszystko, uznawała za państwo swoje. Była też oczywiście pewna część społeczeństwa, która tegoż państwa za swoje nie uznawała. Była bowiem przekonana, iż ta „nowa” Polska to „sowiecka kolonia”, a Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej to „rząd uzurpatorów”. Problem ten ulegał zresztą zróżnicowanej ewolucji w czasie całego tzw. PRL-owskiego okresu. Nie wnikając jednak w analizę bardziej szczegółową, przyjmuję, co potwierdzają i moje badania, iż znacznie bardziej dominująca część społeczeństwa ówczesnej Polski, „wychodzącego” z wojny i okupacji, uznawała za swój tamten kraj. To, zdaje się, tak rozumiana ocena kierowała też autorem „polskich obozów...”, co wyraźnie sygnalizuje rozpoczynający pojęcie przymiotnik „polskie”.

Okładka książki zawiera mapę kraju, już w nowych powojennych granicach, z zaznaczeniem takich miejsc w Polsce, a „pracujących” w latach 1945–1950. To rzetelna ilustracja zagadnienia – 206 „polskich obozów koncentracyjnych”.

To zagadnienie znane oczywiście części badaczy. Zachowała się bowiem dość solidna podstawa źródłowa, także wspomnienia i relacje, dokumentacja innego

rodzaju. W tym dokumenty pierwszorzędnej proveniencji, przede wszystkim obozowe: wykazy, nazwiska, raporty. Dopelnieniem dokumentującym pozostaje też pamięć i postpamięć, ważne składowe w sferze badawczej zarówno *social history*, jak i *oral history*². Autor skrupulatnie te wspomnienia i relacje wykorzystuje.

Jednak problemem pozostaje pytanie, i autor ma tego świadomość: czy fakt istnienia „polskich obozów koncentracyjnych”, powojennych, znany był/ jest w szerszym odbiorze? Podręcznikowym, edukacyjnym? Czy znają te zagadnienia i historię tych obozów, tak mocno szarżujący w obszarze historii, politycy „dobrej zmiany”, czy Kukiz'15? A skoro znają (hipoteza), to dlaczego nie uczestniczą w dyskursie? Przecież tak chętnie, moim zdaniem raczej mało kompetentnie, zabierają głos w sprawach, w końcu, dyscypliny naukowej. Mają ku temu podstawy? Kompetencje?³

Jeden z najwybitniejszych polskich badaczy dziejów społecznych tużpowojennego kraju, prof. Marcin Zaremba trafnie w swej recenzji wydawniczej tej pracy zauważa: „Ta książka nie powinna się ukazać. Nie będzie łatwa i przyjemna. Nie udowodni, że polskie obozy koncentracyjne nie istniały. Nie zaprzeczy bestialstwu i okrucieństwu polskich strażników. Nie powie, że wraz z «wyzwoleniem» przez Armię Czerwoną czas makabrycznych obozów na ziemiach polskich dobiegł końca”⁴.

Tej niewiedzy nie przeszkodziło nawet tak niebywałe doświadczenie społeczeństwa i każdego z jego członków z osobna, jak wojna i okupacje – sowiecka i niemiecka. Nie przeszkodziła pokoleniowa pamięć tego, że jeszcze rok wcześniej w wielu tych miejscach, gdzie już urzędował polski strażnik, polski komendant i to niekoniecznie komunista czy członek PPR, na pryzkach, „które jeszcze nie ostygły”, pojawiły się te same niemal elementy, działania. Pojawiła się zbrodnia. Teraz polska. I to niekoniecznie pod wpływem czynnika zewnętrznego (Sowieców, jak często mawiano). Obozy te były przecież zlokalizowane tuż obok powojennego społeczeństwa, po sąsiedzku. W mieście/ miasteczku, na obrzeżu, a więźniowie często byli przemieszczani, w pobliżu wsi, osiedla. Byli widoczni.

By zilustrować fakty, już w perspektywie *social history*, ale też i w perspektywie nadal istniejącej pamięci i postpamięci: czas tużpowojenny (1944–1950) był skomplikowany, niejednoznaczny, trudny w ocenie, a przede wszystkim recepcji. Ale jednak był już czasem innym, wolnym od okupanta niemieckiego,

² Używając tych dwu pojęć, pamiętam – warsztatowo – o ich dość szerokim, wielowarstwowym znaczeniu. Wydają mi się one jednak adekwatne przy tym rodzaju analizy procesu historycznego 1945–1950.

³ Akapit ten może być uznany za *stricte* polityczny, ale przecież nie da się precyzyjnie oddzielać dwu kwestii nauki historycznej, szczególnie dziejów najnowszych od polityki. Najlepiej związek ten i kontekst zarazem rozumiał Tony Judt, szczególnie w swej obszernej rozprawie rozpoczynającej się już w tytule od przymiotnika „powojnie”. Por. T. Judt, *Powojnie. Historia Europy od roku 1945*, tłum. R. Bartoń, Poznań 2008.

⁴ M. Łuszczyna, *Mała zbrodnia. Polskie obozy koncentracyjne*, Kraków 2017, okładka.

codziennego zagrożenia, czasem rozpoczynającego się, jak to często określano, „nowego”. Jednak znamiona wcześniejsze w społeczeństwie nadal tkwiły – antyniemiecka i antyukraińska obsesja, choć przecież zróżnicowana geograficznie (UPA nie działała na tzw. kresach zachodnich). Więcej, była zrozumiała w tamtej perspektywie i tamtej wizji, tamtego postrzegania współczesności. Wpływała na postrzeganie czasu powojennego. Na Śląsku wielu Ślązaków uchodziło za Niemców – podpisali *Deutsche Volksliste* (nie rozumiano motywów, a przede wszystkim przyzwolenia władz RP, nawet bpa S. Adamskiego), „służyli w Wehrmachcie”. Te wojenno-okupacyjne uproszczenia dziś łatwiej nam analizować i interpretować, wówczas raczej nie – Niemiec – nazista, Ślązak – Niemiec, Ukraińiec – banderowiec, były częścią tamtej pamięci, tamtego zapamiętania wojny i okupacji, własnego w niej miejsca itd. Musiały zatem oddziaływać, pomagać „interpretować” narastającą nową codzienność, wartościować. Tym samym kształtowały postawy, zachowania, strategie postępowania. Utrwały pamięć, stając się jednocześnie, w pewnym stopniu, przesłanką kształtowania późniejszej postpamięci, tj. pamięci przekazywanej. W rodzinie, otoczeniu, sąsiedztwie, małym czy większym środowisku.

Ta pamięć i doświadczenia zderzały się z narzucanymi, propagandowymi wersjami, ale i oczekiwaniami PPR, rządzących na różnych szczeblach, powstawał konglomerat i zamieszanie⁵. Czasem wynikiem było niszczenie tej pamięci przez nową propagandę, czasem pojawiał się koniunkturalizm wyboru. Pola były skomplikowane, stąd i perspektywa, ocena historycznego procesu niezwykle trudna. Także interpretacja. Pozostając jednak przy tych wstępnych ocenach i pamiętając o zróżnicowanych, dynamicznych uwarunkowaniach, wyraźnie dostrzegam też to, co zauważa i autor „polskich obozów....” – kraj traktowano jako Polskę, podmiot, państwo. Stąd uprawnienie z kolei do sformułowania „polskie”. Podzielam ten punkt widzenia, refleksję M. Łuszczyny. W konsekwencji i formułę „polskie”.

„Powojnie”, by ponownie odwołać się do tytułu znamienitej rozprawy Tony’ego Judta⁶, to na obszarze Polski okres niezwykle skomplikowany, trudny, niebezpieczny, często zamazany w literaturze, źródłach, wspomnieniach. A w konsekwencji, w okresie już późniejszym również i w postpamięci. Jedynie częściowo znamy te powikłania, splątania, przemieszczenia w różnych kierunkach, szaber i grabież, donosicielstwo, skrytobójstwa i porachunki, także egoizm, donosicielstwo czy alkohol, antysemityzm.

A obok to, co wielu wtedy nazywało „nowym”. „Nowe” znaczone było stemplem międzynarodowych decyzji i obecnością Armii Czerwonej. W następstwie coraz wyraźniej już nie tylko rysowało cele, ale przede wszystkim je osiągało. Także terrorem. Szczególnie po tym pierwszym, 1944 r., doświadczeniu – trzech

⁵ Szerzej zob. A. Assmann, *Między historią a pamięcią. Antologia*, red. nauk. i posł. M. Saryusz-Wolska, Warszawa 2013.

⁶ T. Judt, op. cit.

jedynie województw: rzeszowskiego, lubelskiego, białostockiego, z Manifestem PKWN w tle i początkami terroru – polskiego i sowieckiego. Ale przecież nie tylko terroru, także narastającej potrzeby normalności: „pogrzebania zmarłych i oplakania ich”, posprzątania obejścia „po froncie i innych działaniach, np. tych z lasu”. Również uruchomienia – tu kolei, tam odbudowy mostu, by było wygodniej itd. Polska była w tym czasie krajem wielkich zmian, ogromnego zróżnicowanego ruchu, zamieszania i przeciętych życiorysów, awansu jednych i upadku, właściwie końca (ziemiaństwo, arystokracja) innych⁷. Kraj, jak mawiała śp. prof. Krystyna Kersten, społeczeństwa przypominającego „kalejdoskop odpustowy”⁸. Co ruszysz oprawką, kolorowy obrazek się zmienia. Tak było ze społeczeństwem polskim tużpowojennym. To niełatwe pole badawcze, szczególnie w sferze społecznej historii.

Dochodziły, umacniając te skomplikowane pola społeczne, wspomniane doświadczenia i trauma nieodległej wojny/ okupacji oraz pamięć międzywojnia. Nie wszyscy, którzy przeżyli kataklizm, jeszcze zdołali powrócić do rodzinnych zagród, mieszkań, rodzin. Ale często już wiedziano i dawano temu wyraz: „Po wojnie nie może być tak, jak przed wojną”. To powszechnie odmieniane zdanie we wspomnieniach i relacjach, szczególnie tzw. szarego obywatela. Z uzupełnieniem: „Po wojnie zawsze odbudowywało się chałupę, wieś”, „Trzeba i odbudować kraj”⁹. To jedna strona społecznych postaw, strategii przetrwania i zachowań, ewoluującej świadomości, olbrzymiego ruchu, przemieszczania się – rachunków strat, w mniejszym stopniu zysków. Z drugiej „nowe”, często bezwzględne, agresywne, policyjno-terrorystyczne, zideologizowane i pewne siebie. Ale i otwarte na nowe kadry, szafujące beneficjami, jakimi zawsze dysponuje władza. A władza absolutna w sposób szczególny, bowiem pozostaje w mniejszości wobec ogółu. I potrzebuje wsparcia, legitymizacji, także kadr, bowiem państwo musi funkcjonować. Nowi władarze potrzebowali wszystkiego – olbrzymiej ilości kadr nowych, potrzebowali poparcia społecznego i legitymizacji dla swych decyzji. Oczekiwali propagandowego i rzeczywistego sukcesu. Nie wszystko mogło opierać się na obecności sowieckich towarzyszy, Armii Czerwonej, NKWD oraz na garstce, w początkowym okresie, członków PPR¹⁰.

Dwie sprawy wydawały się i wydają nadal tu ważne. Z jednej strony ówczesny czas wymagał legitymizacji, nie tyle zewnętrznej, co wewnętrznej,

⁷ Wszystkie cytaty: Archiwum własne – relacje i wspomnienia z okresu wojny i okupacji oraz „powojnia”.

⁸ Uczestniczyłem w niektórych seminariach p. prof. Kersten, gdzie stale słuchaczom to powtarzała. Mówiła o tym również na licznych konferencjach naukowych, w których brała udział. Była przecież wybitną badaczką tego okresu w dziejach Polski.

⁹ Archiwum własne – relacje i wspomnienia z okresu wojny oraz „powojnia”.

¹⁰ Szerzej zob. E. Chrobaczyńska-Plucińska, J. Chrobaczyński, *Dlaczego PPR w okresie 1944–1948 zmonopolizowała władzę w Polsce, spacyfikowała państwo i zniewoliła społeczeństwo?*, w: *Więcej niż partia. PZPR a polityka, gospodarka i społeczeństwo 1948–1990*, red. A. Dziuba, B. Tracz, Katowice–Warszawa 2017, s. 19–41.

bardziej moralnej niż polityczno-państwowej. Państwo polskie nadal istniało, było podmiotem prawa międzynarodowego. A decyzja z lipca 1945 r., uznająca międzynarodową pozycję Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, wraz z cofnięciem tego uznania dla rządu RP na wychodźstwie (konstytucyjnego!), dowodziła podmiotowości prawnej i międzynarodowej. Także traktatowej. Polskiej, a nie komunistycznej, sowieckiej, jakiegokolwiek innej. To przecież Polska TRJN złożyła swój obowiązujący nadal podpis pod aktem założycielskim Organizacji Narodów Zjednoczonych, złożyła dziesiątki innych podpisów – uznawanych i respektowanych. To Polska (Rzeczpospolita Polska – właściwa, oficjalna nazwa), a nie komuniści czy Sowietci, była reprezentowana w ambasadach, oczywiście pomijam przynależność partyjną. Wreszcie to Polska, Rzeczpospolita Polska przyjmowała ambasadorów ze świata w Warszawie. Państwa nielegalne, nieuznawane na arenie międzynarodowej tego nie czynią.

Pozostawało/ pozostaje natomiast otwarte pytanie: czy to „nowe” państwo polskie, w 1945 r. i latach następnych, było tym samym, które we wrześniu 1939 r. zostało najechane i okupowane przez III Rzeszę i Związek Sowiecki? W sensie polityczno-prawnym, kwestii legitymizacji, ciągłości konstytucyjnej było to państwo inne. Ale, podkreślę to, państwo polskie. Nie miało desygnatu wolnego obywatelskiego wyboru. Ale jego trzon stanowiły w niemałym stopniu ziemie zamieszkiwane w większości przez ludność mówiącą po polsku. Brak woli narodu w kwestii przekształceń, „wychodzącego” z wojny państwa, nie oznaczał, że nie było w tym państwie narodu. Jakkolwiek byśmy go nie definiowali, zdecydowanie stanowił również dopełnienie geograficznie wyznaczonego terytorium z uwzględnieniem dziesiątek tysięcy obywateli pozostających jeszcze nadal poza jego granicami.

Ta konstatacja, jak sądzę, również wzmacnia desygnat „polskie” przy analizie zjawiska obozów koncentracyjnych, którymi zajmuje się M. Łuszczyna.

Druga strona tego medalu była mniej znana i mniej dostrzegana, choć uwierała równie dotkliwie – brak suwerenności. Niepodległość, suwerenność zewnętrzna, podmiotowość – tak, kwestia narodu, obywateli tego państwa – również tak, ale suwerenność wewnętrzna już nie. W polityce i dyplomacji odwołamy się do pojęcia *Realpolitik*. I ta *Realpolitik* była akceptowana w Europie po konferencjach w Teheranie, Jałcie i Poczdamie. Była obowiązującym prawem, w dużym stopniu opartym na prawie siły (słynne zdanie Stalina: „a ile dywizji ma papież?”). To prawo i „prawo” rozstrzygało *de facto*, bowiem kończyło wojnę (lepiej lub gorzej, ale kończyło) i „współporządkowało” tym samym powojenną rzeczywistość w Europie. Fakt, że nie było to sprawiedliwe i oczekiwane przez społeczeństwa nowych „demoludów”, również stanowiło ważny czynnik, ale nie najważniejszy w tej rozgrywce. Państwo polskie było częścią tego „powojennego ładu pojałtańskiego”, jak dość powszechnie sądzono w całej Europie. Ponad tym „jałtańskim ładem”, jak uważam, znajdował się, mimo wszystko, czynnik polskości tego państwa. Czy powinno to wpływać na problem interpretacyjny wobec sformułowania „polskie obozy”? Zapewne

tak, ale desygnat jest właściwy – Polska, podmiotowość, uznanie na arenie międzynarodowej – tym samym i uprawniona fraza: „polskie obozy”. Można też uznać ten problem za otwarcie dyskusji, mam nadzieję naukowej – historycznej czy prawnej, ale nie polityczno-ideologicznej czy propagandowej.

Dlatego mogą razić i rażą dziś historyka i badacza dziejów najnowszych sformułowania publicznie prezentowane przez przedstawicieli najwyższych władz państwowych o tym, „że nie mieliśmy kraju”. Trudno akceptować taką postawę historyka-premiera i prawnika-prezydenta. To nieeleganckie i niesprawiedliwe, także i wobec niemałej części powojennego społeczeństwa, ciężko odbudowującego kraj po wojnie, zakładającego rodziny, kształtującego na nowo najbliższe środowiska. Pryzmat tego, co można by nazwać sformulowaniem „przeigranych zwycięzców”¹¹, czy Miłoszowego „zniewolonego umysłu”, to oczywiście składowa tej wojenno-powojennej *Realpolitik*, ale również czynnik, na który to społeczeństwo jako całość miało realnie niewielki wpływ. Nie miało też innego państwa.

Zatem teza: Polska po zakończeniu wojny istniała, Polska (prawna nazwa: Rzeczpospolita Polska) jako państwo – podmiot prawa międzynarodowego, dysponujący: hymnem, orłem, biało-czerwoną flagą to teza niepodlegająca raczej dyskusji¹². To przecież polscy zawodnicy zdobywali medale, a nie Sowieci czy komuniści, słuchali hymnu polskiego, a nie sowieckiego. Nie należy jednak zapominać w tej analizie – powtórzę – o zakresie suwerenności. To również ważne. Część istotna tego okresu. Ale ten kontekst: Polska – polskość, państwo polskie, jest tu potrzebny, był też potrzebny, jak sądzę, autorowi recenzowanej książki. Co oznaczało w niej po pierwsze – polskie, „polskie obozy koncentracyjne”. To znamię najpierwsze, ważne i szczególnie, mocne w tytule tej pracy. Autor tego aż tak nie analizuje, traktując zapewne to jako desygnat oczywisty, uznałem jednak w tej recenzji, że warto/ należy poświęcić temu zagadnieniu szerszą uwagę.

Problem drugi tytułowej definicji to sformułowanie „obozy koncentracyjne”. Nauka historii i prawa wnosi tu sporo zweryfikowanej i powszechnie uznawanej wiedzy, tak prawniczej, jak i tej *stricte* historycznej – pojęcie, podziały i specyfikacja, charakterystyka, istota, ale też – przeżycia, relacje, doświadczenie codzienności. Wreszcie i bilans. Konsekwencją w jakimś stopniu i zakresie

¹¹ Szerzej problem ten przeanalizowałem w: J. Chrobaczyński, *Czas nieszczęść, cierpień, oporu i walki. Przegrani zwycięzcy? Społeczeństwo polskie między wrześniem 1939 a majem 1945*, Kraków 2017.

¹² Znam, oczywiście z relacji i wspomnień, również i inne określenia orła – np. „kurica”, pochodna rozumowania: uzurpacja TRJN i następców. Uzurpacja jednak uznawana na arenie międzynarodowej i honorowana. Uzus językowy – Rzeczpospolita Polska jest obecny w literaturze przedmiotu (ciągłość), a przede wszystkim w oficjalnych dokumentach. Natomiast, coraz częściej, po 1945 r., szczególnie w propagandzie, wykorzystywano termin „klasowy”: Polska Ludowa, co z wolna utrzymywało się, również w języku, a tym samym w społecznym odbiorze i postawach. Także, w jakimś stopniu, w świadomości.

pozostaje pamięć, ale też i postpamięć. Można mieć pewne, uzasadnione wątpliwości metodologiczne – np. nadużywania wzajemnych relacji historii i pamięci, także kontekstu tzw. pamięci kreowanej, wreszcie manipulacji pamięcią, zresztą na różnych poziomach – rodzinnym, środowiskowym, partyjnym czy wręcz państwowym. Ale kontekst pamięci i postpamięci, moim zdaniem, nie powinien być pomijany w analizie procesu historycznego. Szczególnie tak skomplikowanego, jak sytuacje skrajne, niebezpieczne, kryzysowe, zagrażające życiu. A „obóz koncentracyjny” do takiego przedziału zagrożenia musi być kwalifikowany.

Pytanie zatem o fundamentalnym znaczeniu brzmi: czy te 206 miejsc odosobnienia w polskiej, tużpowojennej historii to *stricte* obozy koncentracyjne? A jeżeli tak, to dalej i konsekwentnie: czym był obóz koncentracyjny – nie nazistowski, nie włoski, ale obóz koncentracyjny, jako swoiste „uniwersum obozowe”? Każda encyklopedia prawa, każde solidne badawczo i warsztatowo opracowanie historyczne od tego właśnie zaczyna. Nawet nie wnikając w szerszą analizę zagadnienia, obóz koncentracyjny, zazwyczaj, definiuje się jako miejsce przetrzymywania, najczęściej, choć nie zawsze, bez wyroku sądu, stosunkowo dużej liczby osób uznawanych z różnych powodów za niewygodne dla władz. Służyć może różnym celom i przeznaczeniu, stąd ich dość typowe podziały, znane w literaturze przedmiotu: od miejsca czasowego odosobnienia osób, wobec których zostaną podjęte później inne decyzje, poprzez obóz pracy przymusowej, czyli niewolniczej, aż po miejsce fizycznej eksterminacji, w konsekwencji zagłady/ zniszczenia („fabryka śmierci”).

Pojęcie obozu koncentracyjnego jest więc stosunkowo szerokie: od rodzaju zwykłego więzienia w postaci baraków na ogrodzonym i strzeżonym terenie, po właśnie „fabrykę śmierci”, czyli miejsce koncentracji ludzi przed ich celową zagładą w specjalnie w tym celu skonstruowanych urządzeniach do zabijania (głównie komorach gazowych, choć nie tylko), a następnie likwidacji ciał (krematorium, spalanie w dołach, wapnowanie). Ten ostatni rodzaj obozów koncentracyjnych, nazywanych też obozami zagłady, tworzony był przede wszystkim przez III Rzeszę i związany z Zagładą Żydów i Roma-Sinti (Holocaust i „zapomniany Holocaust”).

Obozy koncentracyjne nawet gdy nie są/ nie były wyłącznie miejscem mordowania osadzonych tam więźniów, to wspólnym ich mianownikiem pozostaje/ pozostawało łamanie podstawowych i przynależnych każdej osobie praw i godności (prawa człowieka) z pominięciem sprawiedliwego procesu. Najłagodniejszym rodzajem obozu koncentracyjnego były obozy internowania, ale również i one mieszczą się, jak pozostałe, w kategorii pojęcia „obóz koncentracyjny”.

To zatem stąd ta obozowa nomenklatura, zarówno w tytule pracy M. Łuszczyny, jak i w mojej interpretacji zjawiska. I żadna tzw. polityka historyczna¹³,

¹³ Szerzej na ten temat zob. J. Chrobaczyński, *Polityka historyczna w Polsce po roku 2015. Kilka uwag i refleksji historyka*, „Chorzowskie Studia Polityczne” 2016, nr 12, s. 45–77.

a tym bardziej prawo (karne/ cywilne) nie może tych ustaleń nauki podważać. Te ustalenia mają charakter globalny, bowiem pojęcie „obozy koncentracyjne” związane jest z obszerną historią państw i społeczeństw. Zdecydowanie natomiast czymś innym pozostaje fałszywe pojęcie „polskie obozy koncentracyjne” dla okresu II wojny światowej. To zasadnicza różnica w nazewnictwie, a przede wszystkim charakterze, przynależności (władza) i istocie. Nie było bowiem „polskich obozów koncentracyjnych” w II wojnie światowej. To były obozy niemieckie (pomijam tu sowiecki *Archipelag GULag*) usytuowane także i na terenie okupowanego polskiego terytorium (tzw. ziemie włączone do III Rzeszy i *Generalgouvernement*). Skala zjawiska i pojęcia obejmuje jednak tylko okres 1939–1945. Uważam to za ważne wyjaśnienie, dowodowe wręcz, bowiem opierające się na kompetentnej literaturze przedmiotu, tak w historiografii polskiej, jak i światowej. Choć oczywiście zdarzały się i nadal zdarzają pomyłki w rozumieniu tego pojęcia, co należy rzetelnie i cierpliwie wyjaśniać, informować, poprawiać, edukując tym samym społeczeństwa całego świata. Bez naruszania godności tych, którzy się potknęli w tej nomenklaturze (chyba że czynią to świadomie), ani – to jednoznaczne – bez penalizacji¹⁴.

Miał zatem, po części, autor tej pracy, M. Łuszczyna i prawo, a przede wszystkim powód, by użyć takiego pojęcia, tak w tytule swojej pracy, jak i w narracji. Zapewne może trochę niezręcznego, bo nakładającego się na pojęcie i wyjaśnienie jednoznaczne: nie było w czasie II wojny światowej – powtórzę – „polskich obozów koncentracyjnych”, gdzie często punktem odniesienia/ przekłamania (j. angielski), a nie intencji, pozostawał raczej kontekst geograficzny, a nie merytoryczny. Takie niezrozumienia należy tłumaczyć, wyjaśniać, prostować, dokumentować. W przypadku pracy M. Łuszczyny ten przedział czasowy pozostaje zupełnie inny: 1945–1950. Wynika to jednak już z treści. Moim zdaniem powinno zostać to zawarte w tytule, autor uniknąłby w ten sposób tak szokującego, pierwszego, czytelniczego odruchu. Nie zmienia to oczywiście zakresu analizy, a przede wszystkim istoty tego reportażu – jest poświęcony „polskim obozom koncentracyjnym 1945–1950”. Uważam, że to zasadne, z tym drobnym potknięciem, prowokującym, braku daty w tytule książki. Autor, jak sądzę, świadomie, używa pojęcia „polskie obozy koncentracyjne 1945–1950”. Wynika to zarówno z tekstu, analizy dokumentów i odniesień do tych dokumentów, jak i prowadzonej przez niego jednoznacznej narracji merytorycznej. Nie wynika tylko z tytułu książki, co może być prowokacyjne, czy wręcz mylące, a puryści już na tej podstawie sygnalizować mogą przestępstwo i powód do penalizacji – niesłusznie. To, mimo

¹⁴ Odwoływanie się w tej sprawie do penalizacji to przykład niefortunny, nieużyteczności prawa i samego rozumienia prawa (*vide*: nowelizacja ustawy o IPN, autorstwa Ministerstwa Sprawiedliwości). Nikomu do niczego penalizacja potknięć pojęciowych nie służy i służyć nie będzie. To błąd napięciowy, brak rozsądku i prawnej pokory, stanowienie złego prawa w tzw. obozie dobrej zmiany, tj. obozie politycznym Prawa i Sprawiedliwości oraz Kukiz'15, a także dość ambiwalentnej postawy przynajmniej części sejmowej opozycji.

wspomnianego potknięcia w tytule, tak autora, jak i wydawcy, bardzo solidna praca/ reportaż dobrze przygotowanego merytorycznie i warsztatowo historyka.

Kolejny problem, na który także chciałem zwrócić uwagę, bowiem prze-studiowałem niemalą część tego materiału źródłowego i mam wyrobiony pogląd, to stale potwierdzające się we wspomnieniach więźniów polskich obozów koncentracyjnych z lat 1945–1950 pojęcie, którego używają na określenie miejsca swojego wówczas pobytu – „obóz koncentracyjny”. Łączy to wspomnienia, relacje, zapamiętany czas przez więźniów tych obozów z tym, jak tym pojęciem posługuje się Łuszczyna. To znamienne, warsztatowe *iunctim*, pomiędzy żywym źródłem historycznym (świadkiem) a badaczem. Z jedną, istotną uwagą, właśnie warsztatową: świadek historii ma prawo do formułowania i używania pojęć, które uważa za stosowne, historyk-badacz ma obowiązek wyjaśniać te pojęcia.

W źródłach dostrzegam natomiast tę subtelną różnicę pomiędzy czasem wojny a już „powojniem”: „Nie ostygły jeszcze piece niemieckich krematoriów”, a już zostały „zagospodarowane” przez polskich komunistów sprawujących władzę, ale i zwyczajnych Polaków – strażników, obsługę itd. Łącznie z najstraszliwszym z nich – *Konzentrationslager Auschwitz-Birkenau*. W ten sam sposób więźniowie odnoszą się do innych miejsc swojej gehenny – „polski obóz koncentracyjny”. I trudno temu zaprzeczyć.

Pozostaje też inny, ważny zwornik pomiędzy *Konzentrationslager Auschwitz-Birkenau*, najważniejszym niemieckim obozem koncentracyjnym i przez pewien czas – zagłady, a „historyczną przerwą” obejmującą wyzwolenie obozu przez Armię Czerwoną i stworzenie tu muzeum. Przerwa ta trwała bez mała ponad dwa lata: 1945–1947. To wstydlivy okres w dziejach KL Auschwitz-Birkenau, trudny w opisie, ale ważny w zrozumieniu istoty zmian wręcz rewolucyjnych, zachodzących na kanwie konsekwencji międzynarodowych decyzji Wielkiej Trójki.

Ale to jednocześnie nie powód, by „omijać” w historii te straszliwe miejsca, lata 1945–1947. W niemalym stopniu Łuszczyna dokumentuje, analizuje, bada to i pozostałe miejsca. Wynikiem, jak trafnie zauważa prof. Zaremba, pozostaje „wstrząsający reportaż, w którym odsłania zakazane karty polskiej historii. Tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej w poniemieckich obozach koncentracyjnych w nieludzkich warunkach pracują i umierają Ślązacy, Niemcy, Żołnierze Wyklęci oraz więźniowie polityczni niewygodni dla nowej władzy”. Reportaż to również solidna część historiografii, ma swoje wymogi, ale przecież merytorycznie i warsztatowo spełnia wysokie kryteria badawcze. Praca Łuszczyny to właśnie taki przykład – uczciwej rzetelności badawczo-erudycyjnej.

Ten reportaż odsłania również dramatyczne szczegóły dnia codziennego tych miejsc. A warto dodać, że ta wiedza została przemilczana, i to nie tylko przez komunistyczny totalitarny, a potem autorytarny reżim PRL, ale i – niestety – przez „demokratyczne państwo prawne” – III RP. Rozumiem

oczywiście, że forma reportażu historycznego to jeszcze niemonograficzne, w pełni naukowe opracowanie zagadnienia. Ale to jest, mimo pewnych (zapewne) oporów purystów nauki historycznej, rzetelnie udokumentowane przekazywanie/ pokazywanie, analizowanie, a przede wszystkim wyjaśnianie przeszłości. Autor nawet nie myśli o tym, że wyczerpał problem, wręcz przeciwnie, stara się – często w rozmowie z zawodowymi historykami – poprzez sekwencję pytań wskazywać na rafy, trudności, „polityczność” zagadnienia, zderzenia z tzw. polityką historyczną, więcej – z nieodpowiedzialnością polityków narzucających rozwiązania, bez naukowych podstaw, nacechowane jedynie politycznie czy ideowo.

Także i dlatego to wielce inspirujący reportaż, bowiem, jak można przeczytać na okładce, wraz z autorem „czytamy akta sprawców, wchodzimy za druty obozów. Razem z Markiem Łuszczyną słuchamy wstrząsających zeznań ofiar”.

Czytałem ten reportaż z wielką zadumą, bowiem znam tylko część tego wstrząsającego materiału dokumentującego, także sporą część literatury przedmiotu, ale i tak całość robi ogromne wrażenie. Nie tyle te uogólniające rozważania – historyczne konteksty, prawnicze definicje, profesorskie wypowiedzi i opinie, ale właśnie przede wszystkim uszczegółowiające relacje ofiar. Różnych: polskich, śląskich („naszych”, polskich Ślązaków, „ich” niemieckich Ślązaków i Ślązaków jako Ślązaków – tutejszych), niemieckich, innych. To historie „mikro” często usytuowane w wielkiej, ale i małej polityce – konsekwencje wysiedleń Niemców z tzw. ziem zachodnich, brutalizm wobec ofiar bandyckiej, polskiej akcji wojskowej „Wisła”, innych – tych z lasu i tych na „nie” wobec nowej władzy itd. Zwyczajnych, zaplątanych w historię – czas i miejsce, w dramatyczny proces historyczny. Ale też i czytamy z autorem w tym reportażu historycznym akta i biografie polskich sprawców obozowej mordęgi więźniów – komendantów, poruczników Wojska Polskiego, czasem więźniów KL, a teraz brutalnie mszczących się na byłych oprawcach, zabijających bez powodu. A czasem nawet tylko z czystej przyjemności płynącej z zabijania.

Wojna to destrukcja, ale i czas powojenny to, jak pokazuje Łuszczyna w swym historycznym reportażu, również destrukcja. Ten wojenny miał w wielu miejscach okupacji zróżnicowane odcienie, wielce niekiedy się różnił (np. *Deutsche Volksliste* – DVL na Śląsku czy Kaszubach i DVL w *Generalgouvernement*, w tym i *Goralenvolk*). Ten powojenny miał nieco inny charakter i odcienie – odbudowa, uruchamianie, reforma rolna, szkoła, kościół, świętowanie, radość z przeżycia koszmaru, a obok – prześladowania, śmierć, utrata majątku, wypędzenia, sponiewieranie ofiar i ich godności przez innych już katów, mówiących po polsku.

Czy to już miejsce i czas, by postawić pytanie o ewentualny równoważnik ofiar? To trudne pytanie, ale wiele tych relacji, to niemal wyłącznie polskie prześladowania wobec zwyczajnych – Niemców, Ukraińców, Łemków, Ślązaków. Zaręczam, wśród nich byli również niewinni, ale to analiza na zupełnie

inny temat. Świadczą o tym szczegóły, które tu chciałbym zaprezentować, bowiem ilustrują to, co pozostaje istotą tej znamienitej pracy. Istotą wartą refleksji, namysłu, a nie pochopnych, powierzchownych ocen:

s. 12 – „dlaczego w Polsce ludzie nie wiedzą?” (o polskich obozach koncentracyjnych 1945–1950) – to ważne pytanie autora. Uważam to pytanie za klucz w zrozumieniu tej książki.

s. 13 – „Między 1945 a 1950 w Polsce działało 206 obozów pracy przymusowej oraz obozów koncentracyjnych, w których przetrzymywano Niemców, Ukraińców, Łemków, Polaków. Do ich stworzenia wykorzystano nienaruszoną infrastrukturę nazistowską, porzuconą przez wycofujące się załogi niemieckie”. To z kolei obraz całościowy, który jest przedmiotem analizy w tym historycznym reportażu, obraz rzetelnie udokumentowany, na okoliczność „polskich obozów koncentracyjnych” – dodam już powojennych i pookupacyjnych, by nie było wątpliwości.

s. 47 – „Więźniowie to zazwyczaj kompletna mieszanina: od członków NSDAP przez zwykłych śląskich cywilów do powstańców śląskich”. Tak działa władza totalitarna, posługująca się w dodatku casusem zbiorowej odpowiedzialności oraz partyjnego, PPR-owskiego, choć nie tylko: „kto nie z nami ten przeciwko nam”. Przekrój społeczny więźniów tych obozów to sporych rozmiarów laboratorium, ważny przyczynek do dalszych badań – trajektorii biograficznej, środowiska, refleksji moralnej, np. w przedziale: „zemsta ofiar”, jak na ten aspekt zagadnienia, w perspektywie wypędzenia Niemców, zwróciła uwagę Helga Hirsch¹⁵.

s. 47 – Z notatki brytyjskiego dyplomaty, notatka rzetelna, jak można się zorientować: „Obozy koncentracyjne [w Polsce – J.Ch.] nie zostały zlikwidowane, tylko przejęte [podkreślenie – J.Ch.] przez nowych właścicieli. Najczęściej są one kierowane przez polską [podkreślenie – J.Ch.] milicję”. To nie jest obraz fałszywy, przekazany do centrali przez dyplomatę, ale to, niestety, obraz prawdziwy. Dlatego żadne intelektualne parafrazy i frazy, czynione aktualnie, np. przez polskiego premiera-historyka „o historii najnowszej Polski, o państwie polskim czy jego – właściwie – braku”¹⁶, nie mają naukowej racji bytu: istniało państwo polskie, istniała, jak zapisuje angielski

¹⁵ Por. H. Hirsch, *Zemsta ofiar. Niemcy w obozach w Polsce 1944–1950*, tłum. M. Przybyłowska, Warszawa 1999.

¹⁶ Odwołuję się tu do znanych wypowiedzi p. premiera Mateusza Morawieckiego w miesiącach: styczeń–marzec 2018 r., co szczegółowo odnotowała prasa krajowa różnych odcieni, także internet, a przede wszystkim prasa zagraniczna. Jak to, niezwykle trafnie, skomentował prof. Aleksander Hall, przypominając znane powiedzenie Józefa Szujskiego, wybitnego historyka i polityka konserwatywnego XIX w.: „Falszywa historia jako mistrzyni fałszywej polityki” – to dziś najważniejsza konsekwencja „historii” w wydaniu „historyka” i polityka Mateusza Morawieckiego, premiera III RP. Cyt. za: A. Hall, *Falszywa historia jako mistrzyni fałszywej polityki. Przy tak poważnych lukach w wiedzy historycznej, braku umiejętności dyplomatycznych i beztroście z jaką premier Morawiecki podchodzi do swych wystąpień, walka o dobre imię Polski jest skazana na porażkę*, „Polityka”, 28 II – 6 III 2018, nr 9, s. 7.

dypłomata, „milicja polska”, istniały w latach 1945–1950 „polskie obozy koncentracyjne”. Choć istnieją tu niemałe pola wątpliwości, o czym już była mowa. Jednak bijący Niemca Polak w „obozie koncentracyjnym”, także umundurowany „milicjant”, to przecież w odczuciu ofiary przedstawiciele „państwa polskiego” – mówią po polsku, rozkazują po polsku. Można to uznawać za niekoherentność, za konfuzję. To oczywiście niełatwe w narracji, w zrozumieniu, ale w tym wypadku żadna tzw. polityka historyczna nie pomoże, bowiem nawet z podstaw logiki wynika, że trudno by było zaakceptować np. pojęcie „komunistyczne obozy koncentracyjne” czy, już absurdalne wręcz, „niepolskie obozy koncentracyjne 1945–1950” lub np. „sowieckie obozy koncentracyjne w Polsce 1945–1950”, mając u podstawy analizy taką, jak zebrana przez autora, dokumentację. Warto nad tymi dylematami, czasem skojarzeniami, ale i krytycznymi spostrzeżeniami, szerzej podyskutować.

s. 55–58 – To kluczowe, źródłowe informacje w sprawie jw.: „W 1997 roku postanowiono zlikwidować kopalnię Porąbka-Klimontów w Sosnowcu, a wraz z nią wielkie archiwum. Skończył się węgiel, fedrowanie głębiej byłoby nieopłacalne.

Likwidacja zbioru dokumentów to standardowa procedura. Kierownictwo zatrudnia firmę archiwistyczną, żeby zrobiła porządek w papierach gromadzonych przez dziesięciolecia. Ciężka, mozolna robota.

Porządek w jednym z nadziemnych pomieszczeń Klimontowa robiła Ewa Będkowska, młodziutka archiwistka, zaraz po studiach. [...] Skrzynie były pełne dokumentów potwierdzających śmierć ludzi zwiezionych do kopalni w ramach współpracy resortu bezpieczeństwa z Centralnym Zarządem Przemysłu Węglowego. Akta osobowe ofiar. Na oko – kilkanaście tysięcy. Kartoteka w dwóch kolorach. Niebieskie fiszki zakładano zmarłym cywilom. Ci, dokumenty widzieli, mówią, że było tam mnóstwo polskich nazwisk: Wilk, Król, Adamczyk, Nowak, Porębski. Znacznie więcej było jednak nazwisk niemieckich.

Na czerwonych kartkach zapisywane dane jeńców wojennych. Przy niektórych nazwiskach ktoś dopisał ołówkiem kopiowym: «płatny». To mogło oznaczać zawodowego górnika, za którego MBP rozliczało się z CZPW po wyższych stawkach.

Obok nazwiska – powód śmierci: wypadek, tyfus, zakażenie, zastrzelenie podczas ucieczki, samobójstwo. Wiek trupów [...] od szesnastu do sześćdziesięciu trzech lat.

Ewa Będkowska zrozumiała, że znalazła coś wyjątkowego. [...] podjęła decyzję, która miała sprowadzić na nią nieszczęście. Nie powiedziała o skrzyniach ani swoim przełożonym, ani szefom kopalni. Zawiozła je wprost do siedziby Niemieckiej Wspólnoty Pojednanie i Przyszłość”.

Po pewnym czasie wkroczyły służby specjalne, zbiór dowodowy został zarekwirowany. Jego dalsza historia, w relacji polsko-niemieckiej, też nie napawa optymizmem – zignorowano naukę historyczną, zignorowano ofiary

– sprawa nie mogła ujrzeć światła dziennego. Zignorowano wreszcie prawo strony państwa niemieckiego do, przynajmniej, zapoznania się z tą dokumentacją. To efekt tzw. polityki historycznej, zła, które toczy naukę historyczną. Jej twórcami i realizatorami pozostają politycy, czasem duchowni, ideolodzy, propagandziści i PR-owcy, wspierani przez garstkę „dworskich” historyków. Efektem tzw. polityki historycznej niemal zawsze bywa potknięcie badawcze, manipulacja procesem historycznym, w istocie cenzura. Łuszczyna analizując ten problem, trafnie dowodzi złych skutków takiego postępowania. W podsumowaniu książki odniesie się dość zdecydowanie do tego zagadnienia.

s. 62–62 – Wspomnienia i relacje więźniów „polskich obozów koncentracyjnych 1945–1950” potwierdzają, z jednej strony *casus* bandyty jako komendanta jednego z nich (obóz Zgoda w Świętochłowicach na Śląsku) – Salomona Morela; interesująca trajektoria biograficzna, cezury mocno zarysowane w narracji Łuszczyny, jak i to, że

s. 79 – „strażnikami [w obozie koncentracyjnym Zgoda w Świętochłowicach na Śląsku – J.Ch.] byli wyłącznie [podkreślenie – J.Ch.] Polacy”. Jedna z więźniarek zapamiętała: „nie komuniści, nie Sowietci – Polacy [podkreślenie – J.Ch.]”, wszak był to przecież „polski obóz koncentracyjny”, położony „na polskim terytorium, a nie na ziemi obcej”. A inna z więźniarek dodaje:

s. 82 – „W Zgodzie przebywało jednorazowo tysiąc trzysta osób, w tym wiele dzieci”. I dalej: „W ciągu trzystu dni istnienia obozu – od lutego do listopada 1945 roku – zmarło w nim ponad dwa tysiące osób [podkreślenie – J.Ch.]. Morel [komendant obozu – J.Ch.] osobiście podpisał tysiąc osiemset aktów zgonu i te dokumenty przetrwały w świętochłowickim Urzędzie Stanu Cywilnego”.

Podobne zjawiska – mordów na bezbronnych więźniach przez „polskich strażników-prześladowców, wcale nie komunistów, ale obywateli górniczego miasta” – odnotowano m.in. w obozach w Potulicach, Jastrzębiu, Łambinowicach. Ten ostatni (s. 197) to „Najstraszniejszy obóz Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego na Śląsku Opolskim”. Tu, na marginesie, M. Łuszczyna zwraca uwagę na postawę ówczesnego szefa Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich, podlegającej Ministerstwu Sprawiedliwości, prof. Czesława Pilichowskiego (cenionego w końcu prawnika i historyka), na tle głośnego procesu komendanta Łambinowic Czesława Gęborskiego – s. 202: „Ministerstwo Sprawiedliwości natychmiast zajęło się sprawą. Końca [jeden z uczestników ważnej konferencji w czasie popaździernikowej odwilży – J.Ch.] nic tu nie znaczy, ale trafił na idealny czas. Podczas październikowej odwilży w RFN ukazała się książka Heinza Essera pod tytułem *Die Hölle von Lamsdorf. Dokumentation über ein polnisches Vernichtungslager* (w tłumaczeniu: *Piekło Łambinowic. Faktografia polskiego obozu zagłady* [podkreślenie – J.Ch.]). To jedyna książka o polskich obozach [podkreślenie – J.Ch.], która pojawiła się w zachodnich Niemczech tak szybko. Zapewne wydarzenia październikowe miały wpływ na publikację, nie ma jednak wątpliwości, że

horror [dokładnie opisany i udokumentowany w pracy M. Łuszczyny – J.Ch.], który wydarzył się w Łambinowicach, był nieporównywalny do zdarzeń mających miejsce w innych obozach MBP, nawet w Świątchłowicach. Ludzie, którzy przeżyli, wszystkim opowiadali o okrucieństwach, jakich doznawali lub byli świadkami. Polacy zareagowali ostro. Postanowiono książki Essera nie przemilczać, zapewne wychodząc z założenia, że ludność Śląska i tak ją przeczyta. Dano więc odpór. Dyrektor Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce Czesław Pilichowski napisał: «Odwetowe i rewizjonistyczne oraz prawicowo-chadeckie i neonazistowskie ugrupowania w RFN podjęły określoną prowokację antypolską, a mianowicie prokuratura w Hagen wszczęła śledztwo w sprawie rzekomych zbrodni, które mieli popełnić Polacy w obozie przejściowym dla wysiedlonych Niemców w Łambinowicach» [podkreślenie – J.Ch.]. Jak widać, tzw. polityka historyczna, niezależnie od systemu polityczno-ustrojowego, ma jedno zadanie – obniżyć wymóg wolności badań historycznych, czyli zmanipulować. Warto może dodać, że z akt sprawy wynika też, iż „w dwa miesiące po ukazaniu się książki Essera, Służba Bezpieczeństwa, zaarrestowała [sic!] siedemset egzemplarzy. W samym Opolu”.

I jeszcze krótka, dobrze jednak udokumentowana, historia KL Auschwitz-Birkenau wyzwolonego przez Armię Czerwoną 27 I 1945 r. Jednym z najważniejszych dowodów, że KL Auschwitz nie opustoszał po wyzwoleniu i nie stał się „z marszu” miejscem pamięci, dokumentującym zbrodnie niemieckie, pozostaje ważny dokument przechowywany w Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau. To „Wykaz osób zmarłych od kwietnia 1945 do lutego 1946 w obozie Państwowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Oświęcimiu”. Analizując dokument, nietrudno zauważyć – więźniowie to niemal wyłącznie Polacy ze Śląska – 146 osób. To ofiary „polskiego obozu koncentracyjnego” w przedziale czasowym kwiecień 1945 – luty 1946. Ponury dowód ciągłości i zmiany w procesie historycznym. Dowód, że nawet ogrom zbrodni dokonanej w KL Auschwitz nie powstrzymał innych zbrodniarzy, już w innej Polsce. Polsce, a nie sowieckiej republice związkowej. Strażnikami nie byli tam obcy czy komuniści – to byli Polacy. Jeszcze jeden dowód, że pojęcie „polski obóz koncentracyjny” (ten w przedziale: kwiecień 1945 – luty 1946) to nie antypolska postawa, rodzaj „hejtu” antypolskiego, ale historyczna, udokumentowana rzeczywistość. Polsko-polska rzeczywistość. Ważna składowa procesu historycznego.

Autor trafnie i z rozważą analizuje to zagadnienie na następnych stronach, ilustrując narrację informacjami „z dzisiaj”, np. księdza z miejscowej parafii w Brzezince (s. 265): „Kto o tym wie? – słyszę. Kto w ogóle ma w głowie inny obraz niż następujące po sobie dwa zdarzenia: wyłamanie bramy w styczniu, film z buldożerami spychającymi stosy trupów do rowów, a potem muzeum Auschwitz? Najpierw styczeń 1945 roku, a później od razu rok 1947”. Właśnie, kto o tym wie?

Zdaje się, że także i po to powstał ten reportaż historyczny. Ale to nie całość tej dramatycznej, „reportażowej” opowieści. Łuszczyna świadomie, jak sądzę, kończy go kontekstem Auschwitz, bowiem to dzisiaj najważniejsze miejsce dokumentujące zbrodnię i Zagładę na ziemi. Także miejsce: „Nigdy więcej”. Nie zawsze skuteczne i przestrzegane, ale zawsze ważne, akcentowane, szczególnie w dniach rocznicowych. I jednocześnie powód do głębszej, kończącej reportaż, refleksji. Dobrze uogólniającej, stawiającej pytania dalsze. Bowiem autor ma świadomość, że naruszył, przede wszystkim tytułem, ale i w niemalym stopniu treścią, pewien obszar zawarowany dla perspektywy obcej. Klisza: jak obóz koncentracyjny – to na pewno niemiecki (hitlerowski, nazistowski), potem ewentualnie – sowiecki „łagier”. Ale „polski obóz koncentracyjny”? To niemożliwe, nieprawdziwe, niegodne. Końcówka tej książki to właśnie podobne lub zbliżone odpowiedzi, refleksy (s. 277 i n.):

– „Ani polski, ani koncentracyjny, ale obóz chyba tak” – mówi mi [Łuszczynie – J.Ch.] mieszkaniec Potulic, wsi, w której funkcjonował jeden z czterech dużych centralnych obozów pracy dla Niemców. I dalej: „To nasz [podkreślenie – J.Ch.] punkt widzenia uchwycony w jednym zdaniu. Odruch nieprawdy, szybki i instynktowny, jak uchylenie się przed lecącym kamieniem” – Łuszczyna ma rację.

Ale pytanie fundamentalne pozostaje: jak nazwać „przemilczaną przez dziesięciolecia zbrodnię? Co właściwie stworzono na terenie przejętej infrastruktury wzniesionej przez niemieckich nazistów? Polskie obozy koncentracyjne? Koncentracyjne, owszem, ale nie polskie? Ten włos należy podzielić na czworo. Źle użyte sformułowanie może oznaczać przestępstwo znieważenia narodu polskiego, za które grozi więzienie [podkreślenie – J.Ch.]”.

Profesor Witold Kulesza, prawnik, współautor ustawy o IPN, były szef pionu śledczego tej instytucji: „Nikt nie zmusi mnie do tego, aby obozy w powojennej Polsce nazywać koncentracyjnymi, a że to nazewnictwo funkcjonuje w piśmiennictwie, nie jest dla mnie, jako prokuratora, żadnym argumentem” (sic!). To kompromitująca wypowiedź i ocena, przede wszystkim Kuleszy, jako badacza, nie prokuratora, lekceważąca prawo międzynarodowe, dorobek nauki historycznej. I jeszcze sformułowanie: „nikt mnie nie zmusi” – to dyskurs naukowy czy propagandowy, argumenty prawniczo-historyczne czy dyktat polityczno-prokuratorowski z cenzurą w tle? Łuszczyna zaś dodaje (s. 278), dopełniając to, co powiedziałem tu jako historyk, oceniając wypowiedź prof. Kuleszy: „Nazewnictwo to faktycznie funkcjonuje już w piśmiennictwie stalinowskiej władzy oraz obozowych załóg. Odpowiedzialni za zbrodnie popełniane w obozie w Łambinowicach sami [podkreślenie – J.Ch.] określali swój obóz mianem «koncentracyjnego» [podkreślenie – J.Ch.]”.

Wypowiedź prof. Kuleszy nie mieści się w normie prawnej, co prawnik powinien wiedzieć. Rozumiem opory, ale nauka wymaga precyzji, normy, definicji i badawczej odpowiedzialności. Potwierdza to w rozmowie z autorem

reportażu prof. Bogusław Kopka, autor fundamentalnej pracy *Obozy pracy w Polsce 1944–1950. Przewodnik encyklopedyczny* (Warszawa 2002).

Mając zaś na uwadze całość historycznego, także i prawnego dorobku na temat obozów koncentracyjnych, może warto odłożyć ustawy, prawo grożące, solidaryzm niemający podstaw i argumentów merytorycznych, a solidnie przyglądać się całości zagadnienia. Nauka tego wymaga i polityka, jakiś rodzaj dziwnie rozumianego patriotyzmu czy narodowej odpowiedzialności, nie może tego fundamentu zburzyć. Może, wzorem niemieckich historyków, środowiska polskich historyków dziejów najnowszych rozpoczną dysputę na ten, a także i inne trudne problemy. Na przykład pod egidą Polskiego Towarzystwa Historycznego. Dyskusja naukowa, nieskażona polityką/ politykowaniem, ma rację bytu w postępie badań, wymusza źródłowe penetracje, precyzję pojęciową. Wreszcie wymusza dyskurs. Teza: „nikt mnie nie zmusi”, to nie jest właściwy kierunek naukowego dyskursu, choć szanuję prawo prof. Kuleszy do własnego zdania. Ale ta teza mnie nie przekonuje. Owszem, rozumiem, że pojęcie „polski obóz koncentracyjny” w odniesieniu do okresu powojennego zderza się z powszechną w światowej i polskiej literaturze konstrukcją: jeżeli obóz koncentracyjny, to na pewno niemiecki. W znaczącym stopniu w polskiej perspektywie historycznej i doświadczeniu, pamięci i postpamięci, wreszcie edukacji mocno ugruntowany. Ale, jak sądzę, wystarczy ustalić zapis następująco: „Polski obóz koncentracyjny 1945–1950”, co stworzy podstawy do różnicowania, ale też i wyartykułuje zło polsko-polskiej historii tego czasu.

Podobnie zresztą, jak i autor, Marek Łuszczyna, który w końcowej sentencji swego reportażu akcentuje, za Zbigniewem Gluzą (s. 280–281), moim zdaniem niezwykle trafnie: „Trzeba edukować Zachód i wyjaśniać mu, jak było. Ale nie nerwowo, nie histerycznie, nie napastliwie, jak to robimy teraz, kiedy pada kłamlliwe sformułowanie «polski obóz koncentracyjny» dotyczące okresu wojny. Odszczekujemy się, zamiast spokojnie edukować na płaszczyźnie dyplomatycznej”. Nie można przecież mieć wątpliwości, „że za to [też Z. Gluza – J.Ch.], co wydarzyło się po wojnie winę ponoszą Polacy. I powinniśmy wziąć za to odpowiedzialność historyczną. Cywilizowany kraj nie ma problemów ze swoją przeszłością, potrafi dostrzegać jej ciemne i jasne karty. Polską racją stanu nie jest tworzenie fasady, upiękkszanej i pomnikowej, bo nikt, poza częścią społeczeństwa, w nią nie uwierzy. Jeśli chcemy przestać budować swoją wizję świata na resentymentach i stworzyć społeczeństwo otwarte, musimy poznać i zaakceptować swoją historię”.

Dodam tylko: całą historię, rzetelnie zbadaną, opisaną, przedstawioną. I żadna tzw. polityka historyczna nie jest do tego potrzebna/ konieczna.

* * *